

Antoni Libera

Najlepiej się nie urodzić
i inne teksty prozą

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2023

Najlepiej się nie urodzić

uwertura tragiczna

Opowiem inną przygodę, dziwniejszą...

Tak brzmi pierwsze zdanie *Kosmosu*, ostatniej powieści Witolda Gombrowicza. I tak też mogłaby się zacząć moja opowieść – o tym, co przydarzyło mi się wkrótce po jego śmierci, w sierpniu 1969 roku, niewątpliwie w wyniku lektury tego dzieła (tego „ciemnego dzieła”, jak lubił je nazywać), a w dodatku w tej samej okolicy, gdzie toczy się jego akcja, czyli pod Zakopanem: w Dolinie Chochołowskiej, a także w Dolinie Pysznej.

Tylko od czego właściwie zaczyna się ta historia?

Wiadomo, nie ma niczego, co byłoby praprzyczyną. Dla ludzkiego umysłu wszystko ma jakiś powód, który odsyła do dalszych – wcześniejszych – w nieskończoność. Ten sam umysł jednakże ma również tę właściwość, że zatrzymuje się na czymś, uznając to arbitralnie za „alfę” – za punkt wyjścia. Otóż dla mnie ów punkt – to czarodziejskie Słowo, co było na początku – znajduje się w czasie mitycznym, bo znanym mi tylko z przekazu: w czasie poprzedzającym moje przyjście na świat, i to o siedem lat.

Chodzi o pewien upalny, czerwcowy dzień w Warszawie, na krótko przed wielką akcją likwidacyjną getto, która zaczęła się w lipcu 1942 roku.

Że Niemcy taką akcją potajemnie planują, mówiło się od dawna. W ciągu ostatnich miesięcy zapanowało jednak powszechne przekonanie, że decyzja w tej sprawie ostatecznie zapadła i że godzina „zero” wybijie lada dzień. Od tej chwili, mówiono, ratunku już nie będzie. Niemcy, jak się ich zna, nie przepuszczą nikomu. Nie będzie żadnego przekupstwa, żadnej litości, łaski. Nikt się już wtedy nie wymknie. Wszyscy pojadą „w nieznanne”. Kto więc nie marzy o tym, niech wieje póki czas – za mur, na aryjską stronę. Jest to, rzecz jasna, wyjście niezwykle ryzykowne, nieledwie desperackie, i tylko dla niektórych – tych, co „nie mają wyglądu”, a przy tym mogą liczyć na taką lub inną pomoc poza dzielnicą zamkniętą – niemniej jeżeli tylko istnieje jakaś szansa, to trzeba z niej korzystać i wyskakiwać za burtę. Inaczej – szkoda słów.

Skakać za burtę, wiać – łatwo radzić, namawiać. Przebież na takie wyjście potrzeba znacznych środków. Najpierw trzeba opłacić nadzorcę-przemytnika, a to już kupa forsy, a potem mieć na życie w tak zwanym okresie przejściowym, póki się nie wyrobi nieskazitelnych papierów z dobrym polskim nazwiskiem i ze świadectwem chrztu, które także kosztuje. Warto wreszcie posiadać jakieś kosztowne drobiazgi – pierścionek, złote monety – na niefort lub czarną godzinę. Kto ma taki majątek! Owszem, niektórzy mieli. Niestety moja matka nie należała do nich.

A jednak było coś, na czym mogła się oprzeć... od czego mogła z a c z ą ć. Tym czymś była szwajcarska maszyna dentystryczna odziedziczona po ciotce, która zginęła jeszcze przed utworzeniem getta. Maszyna ta z resztą sprzętu z jej gabinetu w mieszkaniu przy ulicy

Królewskiej została zdeponowana u zaufanych sąsiadów. „Na czas nieokreślony”, jak zostało to zgrabnie sformułowane w notatce udającej umowę, spisanej na świstku papieru, w pośpiechu, w dwóch egzemplarzach. „Aż skończy się ta wojna”, jak dodano na końcu w niezbyt formalny sposób, „albo gdy z jakichś względów trzeba to będzie spieniężyć”.

Godzina ta właśnie wybiła. Problem polegał na tym, jak o tym powiadomić niegdysiejszych sąsiadów.

Że wszystko przez ten czas mogło się u nich zmienić – że się wyprowadzili lub wpadli w tarapaty i sprzedali maszynę, słowem, że bardzo im przykro, ale nie mogą niestety wywiązać się z przyrzeczenia – o tym nie ma co mówić, bo to jest oczywiste. Taki po prostu jest świat. A jednak, choć to bolesne, lepiej się o tym przekonać, niż z góry dać za wygraną.

Tylko jak? Jak to zrobić? Wysłać za mur „umyślnego”? (Krążyli tacy kurierzy). Po pierwsze długo to trwa, a przy tym jest niepewne. Ludzie pod okupacją stali się tak nieufni, że prawie nikomu nie wierzą, a co dopiero komuś, kto zjawia się niespodzianie z tego rodzaju sprawą. Jak przekonać sąsiadów... niegdysiejszych sąsiadów, że „umyślny” przychodzi naprawdę w imieniu matki? A jeśliby się nawet znalazło taki sposób, to przecież wobec kogoś, kto tylko jest pośrednikiem – kimś obcym, nieznanym – łatwiej jest złamać słowo, niż w obecności tego, któremu się je dało. Dlatego też konieczny jest kontakt bezpośredni, choćby tylko głosowy. Znaczący telefoniczny.

Telefon w getcie? W tym czasie? I jeszcze łączący z miastem leżącym poza murem?

A jakże, czemu nie! Trzeba znać tylko człowieka, który ma dostęp do niego, a jeszcze lepiej do kabli i umie się do nich podłączyć. To stary pajęczarz Szmul, który przed wojną pracował w telekomunikacji, ciągnął linie w Śródmieściu, zna ich rozkład na pamięć, a nade wszystko posiada taki monterski aparat (sama słuchawka z tarczą), którym się można podpiąć w stosownym punkcie sieci.

Taka usługa, rzecz jasna, także ma swoją cenę, lecz nie ma co żałować, trzeba za to zapłacić, bo to jedyny krok, który otwiera drogę. Tym bardziej, że telefoniarz policzy sobie pewnie w danym wypadku mniej – po pierwsze ze względu na to, że matka swego czasu uczyła jego dzieci, lecz nade wszystko dlatego, że postawione zadanie nie jest specjalnie trudne. A nie jest trudne dlatego, że ulica Królewska ciągnie się tuż za murem. Trzeba więc tylko się udać do stosownej piwnicy w budynku na końcu Grzybowskiej, dochodzącej w to miejsce od drugiej strony muru, i tam w odpowiedniej puszcze wpiąć się w linię idącą dalej w kierunku Królewskiej.

Akcja ta, wzbudzająca wielorakie obawy – czy w ogóle się uda? czy niegdysiejsi sąsiedzi będą akurat w domu? czy ten, kto podejmie telefon, pozna matkę po głosie? czy się nie wyprze wszystkiego lub odmówi pomocy? – została uwieńczona nadspodziewanym sukcesem. Sukcesem przyprawiającym dosłownie o zawrót głowy, tym bardziej, że rozmównicą był wierzchołek drabiny przystawionej do ściany pod puszką telefoniczną, a cała długa rozmowa odbywała się w mroku.

A więc tak, oczywiście, wszystko jest po staremu! Jak widać, a raczej słysząc, w dalszym ciągu mieszkają przy ulicy Królewskiej i przechowują maszynę, i resztę wyposażenia, i jak najchętniej pomogą. Tym bardziej że nie tak dawno skurczyło im się miejsce: musieli przyjąć do siebie pewną dalszą rodzinę.

A więc tak, jak najbardziej, chętnie pozbędą się tego, bo tylko im to zawadza. Tylko komu to sprzedać? Jest jakiś klient? Nabywca? Bo szukać takiego, pytać czy dać ogłoszenie to nazbyt kłopotliwe. Do tego, proszę wybaczyć, ale nie mają głowy. Poza tym to zawsze trwa, a skoro, jak słyszą, czas nagli, proponują załatwić całą sprawę od ręki: po prostu sami to kupią, a potem będą się martwić. Pytanie tylko, za ile.

W „umowie” o depozycie była podana wartość powierzonego sprzętu – nazwano ją szacunkową, co faktycznie znaczyło, że była zaniżona – i matka ją wymieniła.

No nieeee, w słuchawce z tarczą rozległ się jęk zawodu. Tyle to nie da rady! Po pierwsze nie wiadomo, czy to tyle jest warte, a po drugie po prostu nie mają takich pieniędzy. Wręcz przeciwnie, biedują, z trudem im starcza na życie. Więc ile?, proszę powiedzieć.

Matka wiedziała dokładnie, ile potrzeba na wyjście, więc podwoiła tę sumę. Była to – „szacunkowo” – zaledwie jedna trzecia wartości samej maszyny. A jednak i tę cenę uznano za zbyt wysoką.

To było do przewidzenia.

Na ile więc może liczyć, matka zadała w końcu zasadnicze pytanie. Powiedzmy na trzy czwarte (z tego,

Najlepiej się nie urodzić

co wymieniła). To wszystko, co w tej chwili mogą zaproponować.

W porządku, niech tak będzie, niech przygotują to, a ona za dzień lub dwa znów zadzwoni i powie, gdzie i o jakiej porze mają przyjść z tą gotówką.

Kiedy zeszła z drabiny, pajęczarz Szmul zapytał, czy ten, co ma ją puścić, jest sprawdzony i pewny, bo bardzo różnie z tym bywa. Odrzekła, że jak na razie w ogóle nie ma nikogo, bo póki nie było forsy, nie zajmowała się tym. Wtedy zaproponował, że może ją skontaktować z takim jednym „tragarzem”, co przeprowadza ludzi, z którym się można dogadać i który jest w miarę pewny. W każdym razie dotychczas jeszcze nikogo nie wydał.

Spotkali się z nim nazajutrz. Nadzorował brygadę wychodzącą na Wolę – na odgruzowywanie. Wyjaśnił krótko zasady. Osoba, która chce uciec, dołącza do wychodzących dosłownie w ostatniej chwili – na znak nadzorującego. Jest poza ewidencją, więc musi liczyć się z tym, że jeśli ktoś wstrzyma grupę i zacznie sprawdzać listę, to łatwo ją wyłuska.

Na miejscu, na rogu Leszna i ulicy Młynarskiej, trzeba pracować co najmniej przez siedem-osiem godzin. Za potrzebą się chodzi do kibla w jednym z podwórek. I to tam się załatwia tak zwane formalności: wręcza się pięć górali i spływa drugą bramą. Ale to ryzykowne, bo o tym procederze wiedzą już szmalcownicy i tylko tam czekają. Odradza więc ten manewr. Lepiej sprowadzić kogoś, kto pojedzie tam rykszą, i razem z nim odjechać. Warto też zabrać ze sobą jakieś ciuchy na zmianę, aby przebrać się w kiblu i wyglądać inaczej, gdy się będzie odjeżdżał.